

ELIZABETH

Gloria Sorel

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wszystko gotowe

Czajnik miał zwyczaj, o którym nikt poza nią nie wiedział. Przez pierwsze dwadzieścia sekund milczał zupełnie, potem zaczynał od czegoś w rodzaju westchnienia, a dopiero na końcu wchodził w ten swój wysoki, cienki ton, który niósł się przez cały dom aż do sypialni na piętrze. Elizabeth nalewała wodę do połowy. Wtedy ton przychodził później i trwał krócej.

Była za dwadzieścia szósta. Za oknem kuchni stał wrzesień, jeszcze ciemny, jeszcze bez ptaków, i szyba oddawała jej własne odbicie: kobieta w rozciągniętym swetrze, z włosami związanymi gumką znalezioną w kieszeni szlafroka. Odwróciła się plecami do okna.

Kafelki pod stopami były zimne. Zawsze były zimne, od dwudziestu dwóch lat, odkąd kupili ten dom i Adam powiedział, że ogrzewanie podłogowe to pomysł na potem. Potem trwało dwadzieścia dwa lata i Elizabeth przestała już nawet o tym myśleć — po prostu wkładała skarpety, zanim zeszła na dół.

Na blacie leżała poczta z wczoraj. Rachunek za wodę, ulotka z pizzerii, coś z banku dla Adama. Wzięła kopertę po rachunku, rozerwała ją wzdłuż i rozprostowała dłonią na blacie. Papier zaszeleścił. Dobry papier, sztywny, nadawał się.

Długopis leżał w kubku przy telefonie razem z nożyczkami, śrubokrętem i kluczem, który do niczego nie pasował, ale którego nikt nie miał odwagi wyrzucić.

Zaczęła pisać.

czw — śmieci (zielony!)

koszula A. — pralnia, do 17

Sam — depozyt akademik, PIĄTEK

Nina — ubezpieczenie auta, zadzwonić za nią

mama — recepta, potwierdzić dr Ellis

Rowan Court — wydruki A3, przed 9

mleko, jajka, papier do drukarki

oddzwonić do Priyi

Sam — pościel? kołdra?

Nina — zapytać o sobotę

prąd

Adam — spotkanie z Denhamem, przypomnieć

ryba na niedzielę, zamówić dziś

mama — zadzwonić wieczorem, nie rano

Czternaście. Kiedyś, dawno temu, próbowała je numerować, ale numeracja sugerowała, że któraś pozycja jest ważniejsza od innych, a nie była. Wszystkie były jednakowo konieczne i wszystkie musiały się zdarzyć między szóstą rano a jedenastą wieczorem.

Czajnik kliknął. Nalała wodę na torebkę, popatrzyła, jak brunatna smuga rozchodzi się w kubku, i postawiła go z boku blatu, żeby przestygł. Zaraz go wypije. Najpierw pralnia — nie, pralnia otwierali o dziewiątej. Najpierw wydruki.

Poszła do jadalni, gdzie stał drugi komputer, i włączyła drukarkę. Maszyna zamruczała, mrugnęła pomarańczową diodą i oznajmiła, że brakuje czarnego tuszu. Elizabeth dopisała na kopercie: tusz . Piętnaście.

Wróciła do kuchni i wtedy usłyszała na schodach kroki.

Adam schodził w podkoszulku, z telefonem w ręce, i mówił, jeszcze zanim wszedł do kuchni, tak jak zwykle, jakby rozmowa trwała już od jakiegoś czasu i on tylko wracał do niej po przerwie.

— Denham przesunął na wpół do dziewiątej.

— Wpół do dziewiątej — powtórzyła.

— Bo leci do Manchesteru. — Otworzył lodówkę, popatrzył do środka, zamknął. — Nie wiem, gdzie jest ta teczka z Rowan Court. Ta szara.

— W biurze, w dolnej szufladzie po lewej.

— Nie ma jej tam.

— Jest.

— Beth, patrzyłem.

Postawiła kubek, wytarła ręce w ścierkę i poszła do gabinetu, który był kiedyś pokojem gościnnym, a potem przestał nim być, bo goście przestali przyjeżdżać. Szara teczka leżała w dolnej szufladzie po lewej, przyciśnięta katalogiem okien. Wyjęła ją, przejrzała, wyciągnęła dwie kartki, które nie miały tam czego szukać, i zaniósła resztę do kuchni.

— No proszę — powiedział Adam. — Ty to masz jakiś system.

Nie miała systemu. Miała pamięć, w której leżało wszystko, co dotyczyło wszystkich, ułożone tak gęsto, że czasem, kiedy próbowała sobie przypomnieć coś własnego, musiała najpierw przesunąć na bok trzy cudze sprawy.

Potem powiedział coś o Denhamie i o tym, że jeśli Rowan Court wyjdzie, to będą musieli w przyszłym roku wziąć kogoś do biura, i że w takim razie ona miałaby mniej papierów, a przynajmniej mniej tych głupich faktur. Mówił o tym może dwanaście minut. Elizabeth kroїła w tym czasie chleb, wyjmowała masło, ustawiała się bokiem, żeby móc patrzeć na niego i jednocześnie na zegar nad kuchenką.

Za dziesięć siódma. Powinna była już wyjść po tusz, bo o wpół do ósmej robi się korek przy szkole.

— Musisz jechać — powiedziała.

— Muszę jechać. — Wypił łyk jej herbaty, odstawił kubek, skrzywił się. — Zimna.

— Wiem.

Pocałował ją gdzieś w okolicę skroni, zabrał szarą teczkę, kluczyki, telefon, i po chwili trzasnęły drzwi. Dom zrobił się cichy w ten określony sposób, w jaki robił się cichy tylko rano, kiedy wszyscy już wyszli, a jeszcze nikt nie wrócił.

Elizabeth wzięła kubek i wylała do zlewu. Nastawiła czajnik jeszcze raz, do połowy.

Potem popatrzyła na kopertę leżącą na blacie i pomyślała, że coś jest z tą listą nie tak. Przebiegła ją wzrokiem od góry do dołu, dwa razy, szukając, co pominęła — bo zawsze coś było pominęte, na tym polegała rzecz — i nie znalazła niczego.

Wszystko było na miejscu. Wszystko było uwzględnione.

Zostało jej trochę niepokoju, taki cienki, na dnie, jakiego człowiek dostaje, kiedy wychodzi z domu i przez pół drogi nie może sobie przypomnieć, czy zamknął drzwi.

Czajnik kliknął. Tym razem nawet nie zdążyła zauważyć wysokiego tonu.

Napiła się i poparzyła podniebienie.

Odstawiła kubek na blat. Wzięła klucze.

Potem wróciła do koperty leżącej przy czajniku, wzięła długopis i dopisała pod spodem, drobniej, bo miejsca

zostało już mało:

Nina — sprawdzić, czy ma umówione USG na listopad
Szesnaście.

Wyszła po tusz.

W niedzielę pogoda się popsuła i przez to wszyscy
przyjechali punktualnie.

Elizabeth wstała o wpół do siódmej, wyjęła rybę,
zrobiła ciasto, obrała ziemniaki, wstawiła pierwszą partię
do piekarnika o wpół do jedenastej i o dwunastej stała
już przy zlewie, myjąc miskę po cieście, kiedy w
przedpokoju odezwał się dzwonek i głos Niny, i głos
Joshua, i za nimi ten szczególny hałas, który robi się, kiedy
do domu wchodzi ludzie w mokrych kurtkach.

Mama przyjechała jako druga, przywieziona przez
sąsiadkę, w płaszczu zapiętym pod szyję mimo dwunastu
stopni. Sam zszedł z góry w ostatniej chwili, boso.

Siedmioro przy stole, na który wystarczało miejsca dla
sześciorga. Elizabeth wystawiła krzesło z gabinetu i
postawiła je u szczytu, przy drzwiach do kuchni, bo
stamtąd najbliższej było do piekarnika.

Ryba wyszła dobra. Wiedziała, że wyszła dobra,
jeszcze zanim ją wyjęła — po zapachu, po kolorze skórki,
po tym, jak koper puścił.

— Mamo, to jest niesamowite — powiedziała Nina,
nakładając sobie po raz drugi. — Naprawdę.

— To zwykły dorsz.

— To nie jest zwykły dorsz.

Josh mówił coś o pracy. Adam nalewał wino. Irene zapytała trzy razy, czyj to samochód stoi przed domem, i za trzecim razem Elizabeth odpowiedziała tak samo spokojnie jak za pierwszym, bo już się nauczyła, że irytacja nic nie daje, a Irene ją słyszy, nawet kiedy nie pamięta pytania.

Elizabeth wstała po sos. Potem po chleb. Potem po drugą butelkę wody, bo Josh nie pił wina, potem po ścierkę, bo Sam przewrócił szklankę, potem wyjąć drugą blachę ziemniaków, potem po sól, bo mama zawsze uważała, że jest za mało soli, a Elizabeth od dwudziestu lat soliła mniej, żeby matka miała co powiedzieć.

Nina stuknęła widelcem o kieliszek. Nie o kieliszek — o szklankę z sokiem, bo od trzech tygodni nie piła wina, tyle że nikt tego nie zauważył.

— Chcieliśmy coś powiedzieć — zaczęła i zaraz się roześmiała, i zrobiła się czerwona, i sięgnęła po rękę Josha. — Boże. Ćwiczyłam to w samochodzie.

Elizabeth stała wtedy z blachą w rękawicy kuchennej, w drzwiach kuchni.

— Jestem w ciąży. Dwunasty tydzień. W marcu.

Zrobiło się głośno, tak jak się robi. Adam wstał tak gwałtownie, że zahaczył o obrus. Josh dostał uścisk dłoni i klepięcie w plecy, Nina dostała uściski, Irene zapytała, kto jest w ciąży, a potem, kiedy jej powiedziano, rozplakała się i przez chwilę była zupełnie przytomna i powiedziała: no proszę, i to zabrzmiało tak, jakby

chodziło o coś, co przewidziała.

Elizabeth postawiła blachę na podstawce, zdjęła rękawicę i podeszła do córki, i Nina wstała, i objęły się, i Elizabeth poczuła pod dłonią jej łopatki, wciąż ostre, dziecinne, i pomyślała: to niemożliwe, żeby ona miała w sobie dziecko .

— Cieszysz się? — spytała Nina w jej włosy.

— Głupia jesteś.

— No powiedz.

— Cieszę się. — Odsunęła ją i popatrzyła na nią. — Bardzo się cieszę.

Adam wstał z kieliszkiem.

— No dobra. — Odchrząknął. — Za Ninę i Josha. I za wnuka, bo to będzie wnuk, ja to czuję. — Śmiech. — I jeszcze jedno. Za Beth. Bo ta ryba. I w ogóle. Ten dom stoi na Beth. Serio, ona jest naszym silnikiem. Naszym silnikiem, tak?

— Za Beth! — powiedzieli wszyscy i podnieśli kieliszki, i patrzyli na nią, i się uśmiechali.

Elizabeth stała w drzwiach kuchni z rękawicą kuchenną w dłoni. Uśmiechnęła się i machnęła ręką, tak jak się macha, i powiedziała coś o tym, że dorsz był w promocji.

Zaśmiali się i wrócili do jedzenia.

Ktoś powiedział, że przydałby się jeszcze sos. Poszła po sos.

Później, kiedy Nina i Josh pojechali, a Adam odwoził Irene, a Sam siedział z laptopem w salonie, Elizabeth stała przy zlewie i jadła zimne ziemniaki z blachy, palcami, prosto z blachy, opierając się biodrem o szafkę. Były dobre. Naprawdę były dobre.

Za oknem padało. Zmywarka szumiała.

Przypomniała sobie, w połowie ziemniaka, słowo silnik

Odstawiła blachę do namoczenia.

Nina napisała z drogi: mam, będziesz ze mną na każdym USG? będziesz? bo bez ciebie nie idę .

Elizabeth wytarła ręce i odpisała: oczywiście .

Potem wzięła krzesło, które przyniosła po południu z gabinetu i postawiła u szczytu stołu, przy drzwiach do kuchni.

Siedzenie było czyste. Zupełnie czyste — bez okruszyny, bez plamy po sosie, bez niczego, co zostaje na krześle po człowieku, który przy nim jadł.

Zaniosła je z powrotem do gabinetu i wsunęła pod biurko, tak jak stało.

Pokój Sama pachniał kurzem i starą wykładziną.

Nie zauważała tego przez osiemnaście lat. Zapach był zawsze, ale przykryty innymi rzeczami — praniem, dezodorantem, tymi jego okropnymi chipsami o smaku octu, mokrymi butami piłkarskimi w kącie. Teraz, kiedy połowa rzeczy była już w kartonach, spod tego wszystkiego wyszedł kurz i wykładzina położona w dwa

tysiące drugim.

Sam zdjął ze ściany plakat i pod spodem został jaśniejszy prostokąt.

— Zamalujemy — powiedziała.

— Nie musisz.

— Nie musimy. Ale zamalujemy.

Kłęczała przy łóżku i pakowała książki do skrzynki, choć wiedziała, że on ich nie zabierze i że za rok trzeba je będzie stąd wynieść jeszcze raz. Sam siedział na podłodze i sortował kable. Miał do tego niesamowitą cierpliwość, do kabli.

— Wziąłeś kołdrę?

— Wziąłem.

— Bo tam mają być te kołdry, ale ludzie mówią, że—

— Wziąłem, mamó.

— Dobrze.

Milczeli. Deszcz uderzał w okno bokiem, tak jak we wrześniu.

Na dnie skrzynki, pod atlasem, leżała teczka z papierami z podstawówki, których nie umiała wyrzucić. Wyjęła ją odruchowo i otworzyła.

Rysunek kredką. Dom, trzy okna, dym z komina zawinięty jak baranek. Przed domem cztery postacie i jedna z nich, ta największa, miała żółte włosy do ramion i coś, co po dłuższej chwili dało się odczytać jako kubek w

ręce. Pod spodem, drukowanymi literami, chwiejnie:
MOJA MAMA ROBI WSZYSTKO.

Siedmiolatek. Pamiętała nawet tę koszulkę, w której wtedy chodził.

Trzymała rysunek i coś jej się zrobiło z gardłem, i wtedy — bez uprzedzenia, bez powodu — zobaczyła zupełnie co innego. Korytarz w domu matki, wąski, z tapetą w prążek. Walizka pod ścianą, zielona, wypożyczona od ciotki Bernie. Ona sama, dwadzieścia dwa lata, w kurtce, z ręką na klamce.

I to, że tamta walizka stała tam potem jeszcze trzy tygodnie, spakowana, dopóki matka nie kazała jej wreszcie rozpakować, bo szkoda rzeczy.

— Mamo.

Podniosła głowę.

— Co?

— Pytałem, czy mam zostawić to krzesło.

— Zostaw.

Włożyła rysunek z powrotem do teczki i teczkę do skrzynki, i wygładziła wieko dłonią dwa razy, choć wieko było gładkie.

Skończyli po dziewiątej. W pokoju zostało łóżko, biurko, krzesło i cztery jaśniejsze prostokąty na ścianie. Sam stanął na środku i rozejrzał się z tym swoim wyrazem twarzy, którego nigdy nie umiała odczytać — czy to obojętność, czy on tak po prostu wygląda, kiedy coś czuje.

— Dziwnie — powiedział.

— Bardzo.

Wyszła pierwsza, żeby nie musiał na nią patrzeć. Na progu, za jej plecami, odezwał się jego głos, spokojny, bez żadnego nacisku:

— Dasz sobie radę, co?

Elizabeth zatrzymała się w korytarzu.

— Ja? — powiedziała. — Ja zawsze daję sobie radę.

Nie odpowiedział. Usłyszała tylko, jak zamyka za sobą drzwi.

Na dole Adam oglądał program o remontowaniu zamków we Francji.

— Zanim dojechałem do auta — powiedział. — Reszta się nie mieści, więc pojedę dwa razy.

— Dobrze.

— Bo on chce jeszcze wziąć tę lampę.

— Wiem.

Kartony stały w przedpokoju pod ścianą, podpisane flamastrem: KSIĄŻKI, ZIMOWE, KABLE, RÓŻNE. Elizabeth przeszła obok nich dwa razy i za drugim razem poprawiła ten z napisem RÓŻNE, bo stał krzywo i taśma odchodziła w rogu.

Dociskała ją kciukiem przez dłuższą chwilę, żeby trzymała.

O wpół do jedenastej weszła jeszcze raz na górę po rolkę taśmy, którą tam zostawili.

Drzwi pokoju były otwarte. Światło z korytarza wchodziło do środka i kładło się na wykładzinie do połowy, i dalej już nie sięgało.

Taśma leżała na biurku, obok czterech jaśniejszych prostokątów.

Wzięła ją i zeszła na dół.

O jedenastej dom był już cichy.

Elizabeth zeszła na dół w skarpetkach, wstawiła czajnik do połowy i stała przy blacie, czekając. Za oknem ktoś przejechał samochodem i światła przesunęły się po suficie kuchni, z lewej na prawą.

Zaparzyła. Postawiła kubek na blacie i zaczęła robić to, co robiła co wieczór: wyłączyć zmywarkę, wytrzeć blat, sprawdzić drzwi na taras, wystawić kubki na jutro, zerknąć, czy Sam wziął ładowarkę, dopisać tusz na jutrzejszej liście, bo tego tuszu jednak nie kupiła, bo pralnia i mama.

Kiedy skończyła, herbata była zimna.

Wzięła kubek i wypiła, stojąc, opierając się plecami o blat. Ciepła porcelana — nie, zimna. Chłodna od spodu, letnia z boku. Herbata miała ten metaliczny smak, jaki mają zimne herbaty.

I wtedy przyszła jej do głowy rzecz zupełnie bez sensu, taka, jakie przychodzą o jedenastej wieczorem: że nie pamięta, kiedy ostatni raz piła gorącą.

Nie tego dnia. Nie w tym tygodniu. Zaczęła cofać się myślami — w zeszły weekend? na urodzinach Priyi? — i doszła gdzieś do wiosny, i zgubiła się, i przestała szukać, bo to była głupia rzecz, żeby o niej myśleć.

Wyplukała kubek. Zgasiła światło w kuchni. Zostawiła zapalone w korytarzu, jak zawsze, bo Sam czasem schodził w nocy po wodę i po ciemku wchodził na ostatni stopień jak na przedostatni.

W przedpokoju, na stoliku pod lustrem, leżała pocztą z popołudnia. Przejrzała ją odruchowo, jednym ruchem kciuka: ulotka, ulotka, coś z serwisu samochodowego dla Adama, katalog.

I jeszcze jedna koperta.

Sztywna, kremowa, z tych grubszych, z nadrukiem kancelarii w lewym górnym rogu. Ives & Partners, Solicitors. Selwyn Bay.

Adresat wypisany na maszynie, na środku:

* Mrs Elizabeth Brennan *

Stała nad tym dłuższą chwilę.

Brennan. Nie Hale. Brennan.

Nikt jej tak nie nazywał od dwudziestu pięciu lat.

Fragment Rozdziału 1 książki „ELIZABETH”, tom 1 cyklu „Vale i córka”.

© 2026 Gloria Sorel. Wszelkie prawa zastrzeżone.